

P.100941

DIATEK 1 STYCZNA 1932

GAZETA 10 GR. DOBRY! BIAŁOSTOCKA

OZIENNIK ILUSTROWANY

NA RUBIEŻY LAT

1931--1932

Rok 1931 mamy już za sobą...
Minął bezpowrotnie... Z westchnieniem ulgi wymawiamy te słowa.

Ulgi?... Tak, niewątpliwie, rok miniony bowiem zapisze się zarówno w dziejach świata jak i w historii Odrodzonej Polski jako jeden z okresów wcale... nieradosnych.

Ale oprócz ulgi w westchnieniu tem brzmieć będzie również Nadzieja.

Nadzieja — pełna troski...

Czy rok, który przeżywać dziś zaczynamy — rok 1932 — przyniesie poprawę, wyprowadzi nas w szerszych, razem ze światem całym z tych mrocznych dni, którym na imię: Rok 1931.

Czy nad zmęczone, starganą ludźmi kością zaświta wreszcie jasny promień, zwiastujący Pokój i Dobrobyt?

Któż wie, co nam przyniesie ten Rok Nowy. A jednak, choć nikt odgadnąć tego nie zdoła, w sercach ludziach tli się iskierka Nadziei.

A nuż! A może jednak będzie lepiej...

I ta iskierka Nadziei, która tli się w każdym człowieku nieustannie, a na rubieży dwu mijających się lat zapala się nagie płomieniem — jest naszym największym bogactwem, dającym nam możliwość życia i waleczenia z wiara w lepsze Jutro.

★

Smutny był ten rok miniony...
Smutny u nas — smutny i gdzieindziej na świecie.

Rok ciężkich doświadczeń dla po wojennego świata.

Rok niebywałego w dziejach kryzysu gospodarczego — nieznanego w tych rozmiarach klęski bezrobocia.

Zgórą 25 milionów ludzi bez pracy — a więc bez mała tyle, co wynosi ludność Polski.

W tem „tylko“ niecałe 300.000 bezrobotnych w naszym kraju.

A licząc razem z rodzinami... — kłóży to zresztą obliczyć...

Katastrofy gospodarcze, stokróż gorsze od klęsk żywiołowych, przewały się z końca w koniec globu ziemskiego, siejąc wszędzie zniszczenie i zostawiając wszędzie ruiny.

Częstotliwość wydarzeń się od czasu do czasu — to owdzie trzęsienia ziemi wobec tych klęsk gospodarczych, jakich świadkami bliższymi lub dalszymi byliśmy w roku minionym?...

Wally się najpotężniejsze banki, jak domki z kart... Padły, niedając się niczem powstrzymać, wa-

lury starych, zamożnych krajów...
Zamierały lasy dymiących jeszcze doniedawna kominów fabrycznych, stawały rozpedzone koła wielkich maszyn i gasty olbrzymie piece...

Pochód zniszczenia — jakiegoś strasznej, nieznanego zarazy powojennej — przeszedł przez świat, zostawiając po sobie olbrzymie wyrwy, po-

gorzeliska, zgłiszczą ruiny.

I miliony ludzi na bruku!

Miliony ludzi, wołających: Jeste!

Na barki państw i społeczeństw spadły nieznanego dotąd ciężary i troska o wyżywienie tych armii ofiar bezkrawej, lecz jakże strasznej w swych skutkach klęski światowej.
I — jakby, nie dosyć miała ludz-

Zwycięski marsz Japończyków Przywrócenie monarchii w Mandżurji

TOKIO, 31.12. Poważna odnoga kolejowa Ku-Pang-Tsu — znajduje się obecnie w rękach japończyków. Oddział czołowy generała Tamon'a wkroczył nad ranem do Ku-Pang-Tsu nie narażając na żaden opór, gdyż chińczycy poprzednio wycofali się w kierunku Czih-Czau.

Według nadchodzących tu wiadomości, wojska japońskie

miały zająć ponownie New-Czwang.

MOSKWA, 31.12. Korespondenci sowieccy donoszą, że byłby cesarz japoński Pu-Ji przybył znowu do Mukdena, tym razem w towarzystwie doradcy japońskiego Doihary. Przywrócenie monarchii w Mandżurji jest podobno rzeczą zdecydowaną.

Hitler grozi Polsce odebraniem Śląska i Pomorza

PARYŻ, 31.12. „Paris-Midi“ przynosi wywiad z dr. Schultze'm, szefem hitlerowskiego biura prasowego w Paryżu, który oświadczył, że Hitler spodziewa się dość do władzy na wiosnę.

Pierwszą jego czynnością będzie wypowiedzenie art. 231 Traktatu Wersalskiego.

Hitler domagać się będzie zwrócenia Niemcom Pomorza i Śląska.



kość tych przejść okrutnych — ciągle widno wojny, wiszące nad światem.

Wojny straszliwej!...

Nieustannie, obłąkańcze zbrojenia... Ciągłe groźby i pełne jadu nawiści pomruki.

I wojna prawdziwa — krwawa rzeź na Wschodzie.

I rewolucje, zamachy i „pucze“...
Jakby nie dosyć było nędzy na świecie!

★

Takim był rok miniony, jeśli nań spojrzymy z oddali, chwytając okiem ogólny tyłko, zasadniczy obraz.

A u nas? Jakim był rok ten w Polsce?

Czyż mówić trzeba o tem, co bliższe, co niedalekie, co świeże we wrażeniach i przetyciach?...

Klęski gospodarcze nie minęły i nas — rzecz prosta.

Niedola i nędza szeroką falą rozlały się po kraju, nie oszczędzając żadnego zakątka.

Ale też natychmiast, jakby na odgłos dzwona, bijącego na alarm w czas powodzi, ruszono na ratunek.

Na ratunek tym, którzy o własnych siłach walczyć nie mogli, którym groziło zalanie tą nędną i niebezpieczną falą.

„Pomoc ta — jak każdy ratunek organizowany w pośpiechu i bez dostatecznych środków — nie mogła być wielką, ani idealnie sprawna.

Powstały w całym kraju Komitety pomocy dla bezrobotnych i rozpoczęły prace.

Zrobiono już dużo — lecz o ileż więcej pozostaje jeszcze do zrobienia!

Walka z groźnym wrogiem się toczy i — jak w każdej wojnie — również i na tym froncie nie powinno zabraknąć nikogo.

Dó szeregów! — było hasłem powszechnym, gdy w r. 1920 wróg zagrażał ziemiom naszym.

Z pomocą bezrobotnym! — powinno być dziś hasłem powszechnym, gdy inny wróg — głód i chłód — zagraża braciom i siostrom naszym.

Musimy wytrwać — i wytrwamy!

Nikommu nie wolno opuszczać rak w rozpacz, lecz zacząć zęby i walczyć.

Z tą wiarą wchodzimy w Rok Nowy, który oby się stał rokiem prawdziwej poprawy!...

P.100941

Marja Androchowiczowa

N O C G R O Z Y

Dochodziła piąta godzina, kiedy Fred zniecierpliwionym ruchem odrzucił nabok paletę i zapaliwszy nerwowo papierosa, zaczął wielkimi krokami przemieszczać swą pracownię.

— Psiakrew — zaklął. — Jak mi nie idzie, a tak liczyłem, że kilka pociągnięciami pedzła, dokończę już dziś mój obraz. Obiecałem przecież Iwonce, że posłę go na wystawę. Zmartwi się dziewczyna, gdy się dowie, że go jeszcze nie wykończyłem. Zatrzymał się przed rozpiętym na sztalugach płótnem, obejmując je krytycznym spojrzeniem.

Obraz miał być wystawiony w Zachęcie, jako „Uśmiech wiosny”!

Nie można było dobrać bardziej odpowiedniej do niego nazwy. Na tle bujnej, puszystej zieleni wiejskiego sadu, wyrastały ja błonie, obsypane biało-różowym kwieciem. Z za drzewa wychylała się figlarnym ruchem, rozśmiana twarzyczka ślicznego dziewczęcia. Była to Iwonka — narzeczona Freda.

Fred rozpoczął nanowo swą wędrowkę po pokoju, kląc pod nosem. Do niezadowolenia jego, dołączały się również i kłopoty natury pieniężnej. Jak na złość jutro przypadał termin płatności za komornę. Gospodarz groził mu eksmisją, a tu pieniądze na które liczył — zawiodły go zupełnie.

W sklepie, gdzie zwykle sprzedawał swoje obrazy, miał krę-

dyt całkowicie wyczerpany. O tym, żeby mu który z kolegów mógł pożyczyć, nawet mowy niema. Pozostawała tylko nadzieja, że do jutra uda mu się sprzedać jakiś obraz, lecz przy dzisiejszym zastoju gotówkowym i ta możliwość wydawała mu się mało prawdopodobna.

Dotychczas nie martwił się zwykłe rzeczczą tak prozaiczną, jaką jest pieniądz. Jedynym jego kapitałem była młodość, wiara we własne siły, no i miłość do Iwonki, która poznał przed trzema miesiącami i zapalał od pierwszego wejrzenia gorącym afektem.

Płomienna siła swego uczucia, zmusił ją do wzajemności. Zgodziła się pozować mu do obrazu, a obecność jej dodawała skrzydeł jego fantazji, budząc w duszy nieśmiałość, tkliwe pragnienie, aby móc ją jaknajprędzej na zwać swoją żoną.

Lymczasem nie zrażał się, kiedy tajemna nic ich marzeń, wypruwała bezlitośnie rzeczywistość i marzyli dalej, że Fred zdoła będzie sławę, pieniądze, a wtedy wszystko ułoży się cudownie.

— Jak na złość wszystko mi się na leń zwaliło — mruzczał w dalszym ciągu, — a tu bryndza, jakiej dawno nie damietam. Pojutrze przypadają imieniny Iwonki i nawet na kwiaty, nie mam. Najłatwiej byłoby postać małowane, ale to znów nie wypada. Pójdę chyba z tego wszystkiego

na miasto, przejde się, a może znajde jakąś radę.

Zmrok zapadał coraz większy. Fred szedł wolnym krokiem, zatrzymując się przed niektórymi wystawami. Stał przed magazynem hubińskim, gdyż spodobała mu się złota brunoletka w kształcie węża, którego oprawnie w szmaragdy oczy rozświecały tajemnicze, fascynujące blaski.

— Ot, gdybym miał pieniądze, zaraz bym kupił tego węża, jako prezent dla Iwonki pomyślał i westchnął smutnie przypominając sobie pustą kieszeń.

Skręcił w bok, przeszedł jeszcze kilka ulic, gdy wtem uwagę jego przykuła spora gromadka osób, stojąca przed budynkiem, na którym ułożone z lampek litery, układały się w napis:

MUZEUM OSOBLIWOSCI

Panopticon to było własnością wujka Iwonki, a zarazem jedynego jej opiekuna. Wujka tego Fred nie widział nigdy na oczy, słyszał tylko, że jest wielkim dziwakiem, pedzi życie samotne, pracując nad ulepszeniem swych figur woskowych i nie udziela się nikomu.

Dotychczas nie miał sposobności zwiedzenia tego muzeum figur woskowych, pomimo, że Iwonka opowiadała mu o wynalazku swego wujka nadzwyczajności.

Uwaga jego obecnie zwróciła była na przyklejony na murze plakat, dookoła którego cisnęli

się ludzie. Zaciekawiony podszedł bliżej i odczytał:

KONKURS ODWAGI.

Poniżej wydrukowane było: „Ten, kto nie uważa na lek ni na trwogę, Znajdź tu może do maraku drogę”

Uwaga: W konkursie mogą brać udział tylko panowie. Bliższych informacji, udzieli kancelaria.

— Z pewnością jakiś kawał reklamowy, pomyślał. Zantrygowany jednak ozłoszeniem, wszedł do środka gmachu.

Obszerny pokój przeleźniony był kandydatami. Rozmawiali po-

Jest panów w tej chwili czterdziestu ośmiu, więc przygotowałem w tej urnie tuteż kartek oznaczonych numerami. Kto wyciągnie pustą kartkę, ten będzie miał prawo stanąć do konkursu.

Kiedy już wszystkim porozdawiał kartki, Fred rozwiniawszy swoją, dostrzegł, że była pusta.

Podniósł ją do góry i pokazał zebranym.

Odpowiedział mu głośny pomruk niechęci. Uczestnicy konkursu, dali wyraz swemu niezadowoleniu i ogólnie ludzkiej zawści, drąc swoje kartki oraz tłumnie opuszczając pokój.

Człowiek o niesamowitym wejrzniu, mruweował Freda. Do-

Niech pan nie przecenia swojej odwagi, bo może zdarzyć się coś, co naruszy wytrzymałość pańskich nerwów. Nie wiem czy panu wiadomo, że mój wynalazek polega na tym, że figury woskowe martwe za dnia — żyją dopiero w noc.

— Jeszcze raz zaznaczam, że się nie lękam i przyjmuję wszystkie warunki — powtórzył Fred, mocno i dobitnie.

Starszy mężczyzna skłonił się przed nim nisko. W oczach jego zapalił się jakiś niezdrowy płomień.

— Wobec tego proszę — wskazał mu reka drzwi. — Niech się pan rozgości i czuje jak u siebie w domu.

związał się aż na brode. Wszystkie te figury zrobione były z wosku, lecz do złudzenia naśladowały żywych ludzi. Uszu jego dobiegał żalostny, pełen bólu jęk. Wzdrygnął się nerwowo i dostrzegł przykucniętego w kącie japończyka, który ostrym, zakrzywionym nożem wypruwał sobie wnętrzności.

Kościotrup stojący w kącie, machnął kosa i wskazał mu drzwiczki ukryte w ścianie.

Coraz to inne przechodził sale, mijając postacie, których widok mroził mu krew w żyłach. Jakież potwory wyciągały ku niemu drapieżnie zakrzywione szpony. Dzikie zwierzęta szkowały się do skoku, a z drzewa, którego owocami były księżyc fosforycznie trujące czaszki, zwieszał się ze złowrogim svkiem wąż — boa. Fred odskoczył i przerażony wpadł na indyjską boginię

Sala obita kirem, miała wygląd jakiejś pogrzebowej kaplicy. W otwartych trumnach leżeli umarli, znajdujący się w najrozmaitszych fazach rozkładu. Ten makabryczny nastrój z coraz to większą siłą zaczął oddziaływać na niego. Wyraźnie czuł, jak mdły, trupi odór, podchodzi mu do gardła.

Na środku sali, stał katafalk z otwartą trumną dookoła jarzyły się pozapalane gromnice. Lecz co to trumna nie była pusta? Fred podszedł bliżej i nie wierzył własnym oczom.

W trumnie z twarzą konwulsyjnie wykrzywiona, leżał właściciel panopticonu.

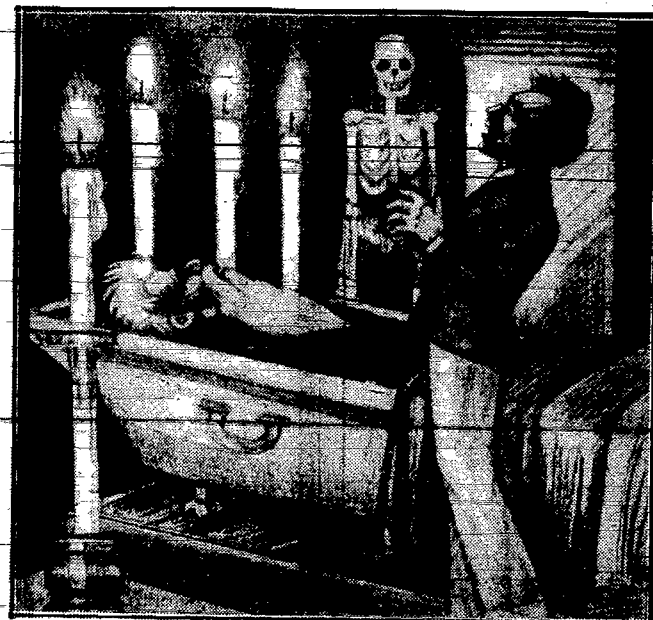
Uczuł mróz w kościach. Początkowo pomyślał, że pomysłowy wynalazca, upodobnił jedną z figur do siebie. Ujął go za rękę i zdrewniał z przerażenia. Ręka opadła sztywno bezwładnie.

Była to ręka martwa, lecz nie ręka figury woskowej.

Fred krzyknął strasznym, nie-ludzkiem głosem i padł bez zmysłów na stopnie katafalku.

Kiedy odzyskał przytomność, poznał, iż znajduje się na łóżku w swoim pokoju. Obok siedziała zapłakana Iwonka w czarnej sukience.

— Otruł się — powiedziała głosem cichym, nabrzmiętym łzami. Nikt z nas nie przypuszczał, że już od dłuższego czasu był obłąkanym.



...Uczuł mróz w kościach...

między sobą z ożywieniem, większą z nich miała wypiki podniecenia na twarzy.

Naraz uciszyło się. Do pokoi wszedł wysoki, szpakowaty mężczyzna o twarzy poranej zmarszczkami i niespokojnie rozbieganym spojrzeniem. W rekach trzymał wysoka urnę.

— Moi panowie — odezwał się ostrym chrypliwym głosem. Wyznaczyłem nagrodę trzystu złotych dla tego, który nie będzie lękał się spędzić noc wśród moich figur woskowych. Jak widzę, dużo jest amatorów, którzy pragną zażyć tej emocji i poszczycić się swoją odwagą, ale kandydat może być tylko jeden i musi być wybrany drogą losowania.

myślał, że ma przed sobą opiekuna Iwonki.

Kiedy zostali sami, poczuł na sobie jego przenikliwy wzrok i usłyszał sztycherem głosem wypowiedziane pytanie:

— No i cóż młody człowieku, nie lęka się pan spędzić nocy wśród moich figur woskowych?

Fred wzruszył ramionami i odpowiedział drwiaco:

— Jestem z natury odważny, zresztą nie rozumiem, jakie niebezpieczeństwo może na mnie czyhać w pańskim „muzeum okropności”.

— Pewno budzi jakaś — pomyślał sobie w duchu. Zagadkowy uśmiech pojawił się na ustach mężczyzny.

Ledwo Fred zdażył przestąpić próg pokoju, usłyszał zgrzyt klucza w zamku i niesamowity, jak by szatański chichot.

— Boi się bym nie zwał — pomyślał, — lecz co za upiorny śmiech ma ten człowiek. Przysiągłbym, że to szakał śmieje się wśród noc.

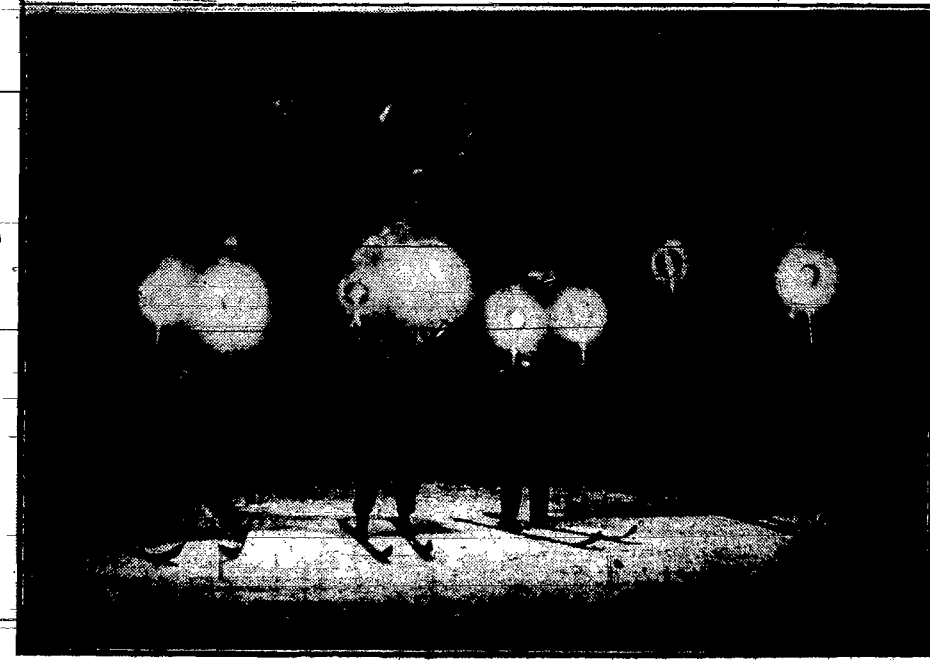
Zaciekawiony rozejrział się dookoła. Znajdował się w sali tortur.

Wpleceni w najprzeróżniejsze narzędzia męki, wylży się przed śmiertnych konwulsjach ludzkie postacie. Nawprost niego wisiał na haku, z zacisniętą u szyi pętlą jakiś człowiek. Oczy wyszły mu z orbit, a język obrzmiał i siny,

Lakszme, która zaśmiała się wzgardliwie. Otoczył go świat przestępców o zwierzęcych wyrodniałych obliczach. Wśród tych wszystkich figur, które ruszały się, żyły, on jedynie, prawdziwie żywy człowiek, błądy, zroszony zimnym potem, wyglądał jak widmo.

Pozostała mu jeszcze ostatnia sala, słabo oświetlona kagankami. Wszedł, lecz to, co ujrzał było tak straszne, że użyć musiał całego wysiłku woli, aby nie ulec jakiemuś nerwowemu atakowi.

W noc Sylwestrową...



Effektowny popis narciarzy z płonącymi pochodniami u progu Nowego Roku



Swinie — te nasze zwyczajne domowe swinie, (marówni ze słoniami), przynoszą podobno szczęście...

CZYTAJCIE TYGODNIK KINO
 ILUSTROWANY
Cena 50 groszy

POZOGA NAMIĘTNOŚCI

DZIEJE MIŁOŚCI I WYSTĘPKU

W MATNI

Znał się dobrze na ludziach herzt szajki „Zielonego Pajaka”, fałszywy porucznik Legii Jeno Maroczy, znany w bandzie pod przezwiskiem „Czarny”.

Musiał zresztą posiadać wyrobioną zdolność orientowania się w typach i charakterach ludzi z którymi się stykał, ta bowiem szybka orientacja była pierwszym warunkiem jego powodzenia.

Jeno Maroczy nie przeceniał, bynajmniej Zaby. Przeciwnie był on zdania, że zdolności detektywa są mocno przereklamowane, nie mniej jednak, o ile znał Zabę, nabrał głębokiego przekonania, że detektyw jest nieublaganie zawzięty i mściwy w wypadkach, gdy chodzi o jego osobę.

Gdyby Jeno Maroczy nie był się porwał na Zabę, gdyby nie owa nieszcześna stara sztolnia, która przedziwnym a fatalnym trafem nie stał się grobem małego detektywa — byłby mógł Jeno Maroczy mógł liczyć na to, że Zachariasz Zaba nie włoży w sprawę ujęcia go wszystkich swoich wysiłków i namów. Stało się jednak inaczej, aż tak się stało, należało się spodziewać, że krewki grubas zrobi, co będzie w jego mocy, by zemścić się na Maroczynie i ułać go, po to tylko, by patrzeć na niego przez chwilę ze zjadliwie triumfującym uśmiechem.

Dlatego też Jeno Maroczy po szczęśliwej ucieczce w lasy postanowił się mścić na bezczności. O ile nie wierzył by Zaba sam „osobiste” zdołał go ułać o ile był pewny, że mały detektyw zrobi tyle piekła wokół jego osoby, że ściągnie mu na barki policję całego państwa.

Ucieczka Maroczego w lasy, utrata Marty, aresztowanie dwu wiernych druhów napełniły „Czarnego” bezsilną, zato tem większą wściekłością. Szczęście wyraźnie poczuło się odwracać od swego ulubienca, wyraźnie poczynał już spotykać niepowodzenie po niepowodzeniu na swej karłowatej drodze życia.

Zaczęło się to — pamiętał dokładnie — od momentu kiedy wszedł na plan w formie genialny, schowania akcji „Amerykańskiego trustu naftowego” w biurku Zaka zginął Janusz Plaza Wierchońskiego, Zachariasz Zaby. Od tego czasu poprzez nieudane zamachy na małego detektywa, poprzez śmierć Wierchońskiego, poprzez ucieczkę Plezowa, prześladowały go nieustannie porażki.

Jeno Maroczy poraz pierwszy od wielu lat, doznał zupełnie swobodnego wrażenia, że w najbliższej przyszłości grozi mu wielkie niebezpieczeństwo. Przyszłość przedstawiała mu się w czarnych barwach, a szczególnie lekkiem przejmował go fakt, iż od ciosu zadanego jego człowiekowi, który w istocie nie zleżał mu nie zrobił, a którego on wraz z Niką: złowić w swe chciwe sieci.

Cóż zrobi? Cóż zrobi, jeżeli szczęście opuści go zupełnie? Cóż zrobi, jeżeli na krokach jego zamkna się trzyne kajdanki. Przed sądem wyjdzie najaw całe jego życie i trudno będzie żywić nadzieję, by miał jakkolwiek względy dla lotra pod ciennej gwiazdy, dla szanowanego włamywacza, rabusia, fałszerza i mordercy. Hej, hej! Byłże w Kodeksie Karnym choć jeden jeszcze paragraf, którego by nie przekroczył?

Obawiał się dworców Kolejowych, obawiał się miast i miasteczek. Obawiał się ludzi. Obawiał się wszystkiego. Można ryzykować życie pierś w pierś, gdy dzwonią o siebie rapiry, można zginąć nieszczęśliwym gradem kuli, można skonać od cichego uderzenia nożem, którego ostrze przesłizgnie się między żebrami i chciwie dławi się osierdzia ciepłej, tętniącej krwi — można tak zawsze umrzeć i ani to żal, ani hańba ani strach! Zbójca, mokojecka sprawa!

Ale, co innego z zawianami oczyma szamotać się i drgać na sznurze szubienicy, gdy, osłupiałe nogi daremnie skaczą ziemi, o którą nie oprą się już nigdy, kiedy język wywala się w mece konania z umęczonego gardła. Inna to rzecz, i nie trzeba być ichorzem; nie trzeba zajęczego nosić w pierśiach serca, by, drząc i obawiając się takiego końca.

Jeno Maroczy nie był ichorzem. Jako żołnierz Legii wystawiał nieraz wśród wypakowanych psaków pustyni swą pierś na strzały Riflenów. Jeno Maroczy bał się jednak, panicznie, okropnie, beznamiętnie bezmiernie dwuznaczności pokuty na potwornym drzewie hańby.

Trzeba było jednak iść raz obroną drogą, z której niema powrotu. Nie był sam, nie o niego tylko chodziło... W Katowicach wyznaczył punkt zborny członkom szajki „Zielonego Pajaka”, miałże opuścić druhów starych teraz gdy zawisło nad nimi niebezpieczeństwo, gdy policja szukała gorączkowo sprawców bezczelnego rabunku kas „Pollexportu”. Miałże zawięzić ich teraz on — wódz — herzt — ich władca i przodownik? Nie! Jeno Maroczy mógłby zawięzić, ale „Czarny” nie zawięził! Zresztą z Katowic bliżej już do granicy, do utęsknionej granicy...

Mijały dni, i mijały noce, noce zle i zimne a Jeno Maroczy przymierając głodem, choć nie brakło mu fors w portfelu, włókł się lasami, czasem nocując w jakiejś chłopskiej chatupie, w której udzielało mu tylko ciepłej strawy.

Miał świetnie wyrobiony zmysł orientacji w terenie, był spokojny o to, że idzie dobrze, że wreszcie dotrze do Katowic.

Jeno Maroczy nie mylił się! Detektyw Zaba pałał istotnie żądzą pomsty za zamach dokonany na niego w Plazowie. Wiedział też o tem, że szajka „Zielonego Pajaka” na wyznaczony punkt zborny w Katowicach, że Jeno Maroczy pojawi się tam napewno.

To, że wiedział, nie było jednak jego zasługą. Poprostu Franciszek Wiecheć, postrzelony ciężko, w szpitalu popadł w wysoką gorączkę i począł bredzić, a w bełkocie słów jego rozróżniono wyraźnie powtarzające się nieustannie słowo „Katowice”... Nie trudno było tedy znakomiteму detektywowi domyśleć się, iż tam a nie gdzie indziej, zdążył z Plazowa Maroczy, gdy został po drodze rozgromiony przez pościg.

Detektyw Zaba wyekspedował Martę Hubrynową do Warszawy pod troskliwą opieką Alfreda Oremusa i Hipolita Filonga, sam zaś podążył do Katowic i postawił swymi alarmami na nogi całą policję katowicką. Obstawiono dworzec, wrócono uwagę na wszystkie meliny, izolowano wszystkie nory bandyckie, dokonywa-

no obław w różnych strefach miasta.

W rezultacie ujęto kilku najmniej sprytnych i przebiegłych członków szajki „Zielonego Pajaka”, reszta zaś bandy zwichawszy, że w Katowicach zaczyna być za ciasno, gdy na dobytek Jena Maroczego przepadł bez wieści i nie zjawił się w Katowicach w umówionym terminie — rozprószyła się szybko po całej Polsce, zawiązując się na spotkanie w Warszawie, gdy tylko uciechnie nieco sprawa gdynskiego rabunku.

Dotarł wreszcie Jeno Maroczy do Katowic i momentalnie zwrócił się do sprawy stały się. Oko miał wprawne, bystre i odgadwał instynktownie agentów policji. Poza tem przegazyły go nalepione gęsto na słupkach ogłoszeniowych miasta — listy gończe!

Było ich wiele, bardzo wiele! Czerniały wielkimi żółtakami, ułożonym w słowa: „Eugeniusz Maroczy”, głosiły śmierć hrabiego Janusza Plaza Wierchońskiego z ręki owego właśnie Eugeniusza Maroczego, fałszywie podającego się i noszącego mundur porucznika francuskiej Legii cudzoziemskiej, a w rzeczywistości będącego poszukiwanym za liczne zbrodnie przestępca, który pod nazwą „Czarny” kieruje szajką „Zielonego Pajaka”, który dokonał rabunku banku „St. Hubryna i Ska” w Warszawie, oraz kas „Pollexportu” w Gdyni.

Listy gończe były wszędzie. Wołały nazwiska Maroczego, zwracały uwagę fotografiami picznego przestępcy, fotografia której zdobycie było tajemnicą Zaby.

Jeno Maroczy już po kilku godzinach w Katowicach upewnił się, że wpadł w matnię, że sytuacja jest groźna.

Na rogu jakiejś ulicy onął nie natknął się na Zabę. Jeno Maroczy namacał ręką w kieszeni awarde ciała rewolwerni, zdecydowany w razie poznania krompach w łeb najpierw detektywa, potem zaś siebie.

Na szczęście dla nich obu detektywa ominął go o trzy kroki i znikł w tłumie. Maroczy udał się do kilku melin, gdzie miał dobrych znajomych i gdzie mógł otrzymać wiadomości o szajce. Nigdzie jednak nie dotarł. Koło każdej meliny kroczyły się jakieś „podejrzane” typy. Poprostu mówiąc — „hinty”...

Maroczy był głodny, brudny i nieogolony. Targała nim głęboka wściekłość. Uświadomił sobie, że władze policyjne zdecydowały się skończyć z nim i to skończyć jaknajszybciej. Nie chciał dać jednak za wygraną. Musiał przecież dowiedzieć się co stało się z „Pajakami”, musiał zobaczyć się z kilkoma zaufanymi.

Pod wieczór gdy zapadł mrok, zdecydowany na wszystko zapukał do meliny Olka Herceña.

Otworzył mu sam gospodarz, na widok Maroczego zbladł.

— Ty tutaj? Na Boga! Do mnie czasem i dwa razy dziennie przychodzi i pyta o ciebie. Całe Katowice przewracają do góry nogami w poszukiwaniu za „Czarnym”...

Maroczy usmiechnął się. Dobył browninga.

— A to znasz! — zapytał, widząc, że Olek nie ma zbyt wtekliwej ochoty wpuszczyć go do środka mieszkania.

(Dalszy ciąg w numerze jutrzniejszym)

Zbrodniarze londyńscy odetchną z ulgą Postrach bandytów idzie na emeryturę

Świat podziemny Londynu odetchnie z ulgą na wieść, że jeden z głównych inspektorów sławnego Scotland Yardu, William Keen idzie na emeryturę. Człowiek ten był prawdziwym postrachem wszyskich zbrodniarzy londyńskich.

Bali się go tembardziej, że zjawiał się wśród nich nieoczekiwanie i nie poznany nawet przez tych, którzy niejednokrotnie się z nim stykali, wyrastał nagle jak z pod ziemi we wszystkich spelunkach i melinach złodziejskich.

Był prawdziwym mistrzem charakteryzacji. Wieczorem nie wychodził z domu naczaj, jak w stroju wieczorowym poprawnym w najdrobniejszych szczegółach. Swoim samochodem sportowym który zawsze sam prowadził, objeżdżał kluby nocne

i wdawał się w rozmowy z ich bywałcami. Rozmowy te były dla niego bardzo cenne. Umiał tak zmieścić maskę twarzy, że nigdy nie budził w tych lokalach niczego podejrzliwego. Zebrałszy potrzebne mu informacje zniknął i zjawiał się po chwili w jak mś zaulku.

Jako ostatni nadzorca, odziany w lachman, i zataczający się od alkoholu. Nie uznawał „godzin” pracy i był na służbie przez całą dobę.

zażywając spoczynku w odstępach nieregularnych, wówczas tylko, gdy mógł sobie na to pozwolić bez

uszczerbku dla swych obowiązków. Jego najznakomitszym wyciecznikiem było, gdy w przebraniu „kawalera księżycza” pozyskał sobie zaufanie byłego po-

licjanta, który usiłował go namówić do włamania się do wskazanego przez siebie domu. Okazało się, że ten był stróż bezpieczeństwa stał na czeluściach włamywaczy,

którym „dawał” roboty. Keen na krył go w rękaw z całą bandą wspólników. Dopiero na jawie oskarżonych eks-policjant dowiedział się ku swemu niepomiernemu zdziwieniu, jakiego to werbował sobie wspólnika.

Keen nie cofał się również przed walką i nieraz bywał w niebezpieczeństwie osobistym.

W jednym wypadku funkcjonariusz służby bezpieczeństwa stawiał czoło sześciu włamywaczom, którzy dobierali się do magazynu z tytoniem. Mimo przeważającej liczby opryszków, trzech obezwładniono i aresztowano, trzech inni zbiegli.

Obecnie ten dzielny, niestraszony i przebiegły wróg przestępców wszelkiego autoramentu wycofuje się ze swej odpowiedzialnej służby i udaje się na emeryturę. Jeżeli jednak złodzieje londyńscy się cieszą, to radość ich może okazać się przedwczesną. Być może bowiem, że Keen będzie nadal następowalim na piętę, ale już jako detektyw prywatny.

Rozpaczliwy krzyk z kanału Droga śmierć rowerzystki

Córka ubogich rodziców w Dunkierce we Francji, 14-letnia Albertyna Weissbecker, pracowała już w fabryce i otrzymywała 15 franków dziennego wynagrodzenia, które oddawała rodzicom, obarczonym 6-cioletnim dzieckiem.

Oczekując, jak zwykle, wyjechała na rowerze z Dunkierki aby udać się do pracy, i po drodze spotkała również jadącą na rowerze swoją kuzynkę i koleżankę, D. Denzerre, z którą miała odziedziła odbywała drogę do fabryki.

Obie jechały tuż nad kanałem, gęsię, gdyż droga była wąska. Nagle p. Denzerre, która jechała pierwsza usłyszała przeraźliwy krzyk, a gdy obejrzała się, nie zobaczyła już swej kuzynki, usłyszała natomiast dochodzący ją z kanału płask.

O kilka kroków zaś jakiś człowiek pośpiesznie wskazywał na rowery i za chwilę znikł na zakręcie drogi.

Podczas robót kanalizacyjnych w igancuskim mieście Rouen robotnicy wyrzucili wykopaną ziemię tak, że opierała się ona o mur, odgradzający zabudowania od ulicy.

Prawdopodobnie nieostrożny cyklista najechał na nią i stracił od kanału. Potem, zamiast pośpieszyć z pomocą, zbiegł, obawiając się odpowiedzialności.

Rodzice Albertyny pozostają w wielkiej nędzy, ojciec bowiem od dłuższego czasu nie pracuje. Dziewczynka była ich jedyną podporą i żywicielką.

Wieści ze świata

Katastrofa budowlana w Rouen. Podczas robót kanalizacyjnych w igancuskim mieście Rouen robotnicy wyrzucili wykopaną ziemię tak, że opierała się ona o mur, odgradzający zabudowania od ulicy.

Pod naporem ciężaru mur runął na przestrzeni 20 metrów i zwałił się na ścianę sąsiedniego domu, w którym mieszka około 100 rodzin robotniczych.

Dziewczeta z Oberammergau jako służące w Anglii. Powszechnie przesilenie gospodarcze nie ominie także chęć zazwyczaj woski bawarskiej Oberammergau, znanej na całym świecie z przedstawień pasyjnych.

Mieszkańcy wioski, którzy w czasie przedstawień odgrywają role różnych postaci biblijnych, pozatem są syceryzami i czerpią swe dochody z rzeźb w drzewie.

Zawsze, ale nie teraz, gdy brak gotówki daje się wszystkim we znaki. Dziewczeta, chcąc odpuścić biedę, zaradająca już coraz natarczywiej do rodzinnej wioski, napisały zbiorowy list do jednej z Angielek, która latem ubiegłego roku bawiła na przedstawieniach, i opisały jej swe smutne położenie, prośąc zarazem o pomoc. Skutek był taki, że trzydziści kilka dziewcząt, otrzymało z Anglii oferty na objęcie posad służących różnego typu i obecnie znajdują się już na swych stanowiskach, pełniąc obowiązki ku zupełnemu zadowoleniu chlebodawców.

Taneczek z weżem. Młodzienka artystka kabaretowa Loritzka Lizzi ma kłopot nielada. Została ona zaangażowana do jednego z paryskich music-hallów jako „taneczka z weżem”.

Miała występować zupełnie nago. Ale w trakcie zmiany programu reżyser odrzucił weża jako rekwizyt artystyczny, poczem taneczka orzekła że nie wystąpi, gdyż wąż do pewnego stopnia zastępował jej kostium.

Dyrektor teatryku skarży M. wprawdzie o złamanie kontraktu, ale pozwana ma za sobą swego Związek, który orzekł, że nie może na pozabawiać artystki akcesoryjów, przyczyniających się do wywołania pewnego pożądanego efektu.

Nowe cudo techniki Elektryczny mózg aparatu nerkowego

Niemiecki inżynier, Jan Philipps skonstruował aparat, którym może zapuszczać się w najgłębsze głębie oceanu i który porusza się swobodnie jeszcze na głębokości 3 tysiące metrów.

Aparat zbudowany jest na tej zasadzie, że ciśnienie wody od zewnątrz równoważy się odpowiadającym ciśnieniem od środka, osiaganiem za pomocą narowania skroplonego powietrza.

Aparat posiada własny motor i jest utrzymywany w równowadze za pomocą specjalnego pływaka, w kształcie kuli.

Wszystkie prace, które murek ma wykonać, uskutecznią on za pomocą elektryczności.

Energia zasilająca motor oraz przyrządy techniczne, doprowadza na jest do aparatu nerkowego z okretu magnezystego za pośrednictwem kabla.

Płymne powietrze soetnia w aparacie lme leszcze zadanie, prócz wyrównywania ciśnienia. Mianowicie powoduje ono wypłynięcie przyrządu na powierzchnię, bądź na zadanie norka, bądź też automatycznie, w razie najmniejszego uszkodzenia aparatu albo któregośkolwiek z maszyn.

W takim wypadku spoczywając na powierzchni wody pływak daje sygnał alarmowy i w końcu przerywa połączenie z wentylem,

tak, że ten, zamykając się, powoduje wywinięcie aparatu. Aparat posiada własne słoty i uzbrojony jest w igradło do chwytania przedmiotów, które mają być wydobyte z głębi morza.

Płymne powietrze mieści się w puściej przestrzeni między dwiema ścianami aparatu.

Szczyt bezczelności włamywaczy drogo ich będz e kosztować

Policja w Tuluzie rozpatruje obecnie ciekawą sprawę, która świadczy o tem, że włamywacze niekiedy muszą być adżmi na stawianymi materiałnie, którym chodzi tylko o „zarobek” i o szybkie zdobycie

jaknajwiększego łupu. Tak przynajmniej wynika z zeznań niejakiego Rajmunda Albusena, oskarżonego o włamanie się w towarzystwie jakiejś kobiety do zamku Union w nieobecności właścicieli.

Rajmund Albusen oświadczył, że dostał on się do wnętrza zamku za pomocą

wyważenia drzwi łomem i zainstalował się w nim wygodnie wraz z towarzysząca mu Antonią Audou.

Po spakowaniu wszystkich kosztowności, które zabrała z zamku, włamywacze przyszli do przekonania, że zamek jest bardzo przyjemnym miejscem pobytu i że nie ma powodu do pośpiechu. Obie zatem udali się przedewszystkiem do dobrze zaopatrzo-

nych piwnic zamku, skąd zabrali spory zapas likierów i szampana, w soizarni zaś zaopatrzyli się w różne smakowite przekąski. Tak uzbrojeni wrócili do salonu, spożyli wykwintną, choć zimną kolację

przy dźwiękach gramofonu, a potem przez tym samym instrumencie urządzili sobie mały dancing we dwie.

Po takich perypetjach trzeba było oczywiście odpocząć, co uskuteczniiono w najlepszej syplalni zamku.

Rano Albusen zaopatrzył się w najelegantsze ubranie, jakie znalazł w szafie, a jego towarzysząca również dobrała sobie kolekcję toalet i okryć, jakie jej najlepiej odpowiadały.

Niestety, włamanie zostało wykryte, a włamywacze, którzy przybyli do zamku, a wszystkie skradzione rzeczy, prócz oczywiście swoich trunków i jedła, wrócili do swych pierwotnych właścicieli.

Zasiłki w naturze, czy obiady w tanich kuchniach

W d. 30 ub.m. Starosta Grodzki p. J. Mieszkowski przyjął delegację bezrobotnych (różnych narodowości), która przedstawiła prośbę wydawania zasiłków w naturze względnie wydawania bonów na otrzymywanie artykułów żywnościowych zamiast obiadów w tanich kuchniach.

Starosta przychylnie przyjął delegację i wyraził życzenie, by sami bezrobotni więcej się zainteresowali akcją wydawania obiadów w tanich kuchniach, zorganizowanych przez Woj. Komitet do spraw Bezro-

bocia, delegując tam swoich przedstawicieli do pomocy i kontroli. Sprawa wydawania zasiłków w naturze zostanie zdecydowana po dokładnem rozpatrzeniu żądań bezrobotnych.

Przedstawienie i zabawa dla żołnierzy garnizonu białostockiego

Staraniem Polskiego Białego Krzyża w Białymstoku w dniu 3 stycznia w teatrze „Pałace”

Akcja spisowa w gminie Obrubniki spotkała z niezwykłym zrozumieniem i poparciem ludności

Z pow. białostockiego, gminy Obrubniki piszą do nas:

„Władze spisowe na krótkotrwałych kursach informowały komisarzy spisowych o sposobach wydobycia prawdziwych

zessań od mieszkańców wsi, którzy ewentualnie nie zdają sobie sprawy z celu, jakiemu ten spis służy, będą jak dotychczas przeważnie sądzą, że „robi się to na podatek”.

Z przyjemnością jedynak stwierdzić trzeba, że ludność wiejska wykazała jaknajdalej idącą pomoc komisarzom spisowym, czy to w postaci podwód, posłańców etc., jak również w samym spisywaniu.

Każdy mieszkaniec, w oczekiwaniu na komisarza spisowego, miał przygotowaną notatkę z datami urodzenia, ilością gruntów i t. d., co wydatnie przyczyniło się do sprawności w spisywaniu. Zewnętrzny wygląd mieszkań i nastroje mieszkańców w dniach 8 i 9 grudnia miały charakter prawie odświętny. Ustosunkowanie się ludności do komisarzy spisowych było szczere i świadome. Wyjazdy do młyna, miasta, lasu i t. p. zostały zawieszane, choć nakazu takiego gmina nie wydała.

Tę pogodną i sprzyjającą akcji spisowej atmosferę należy zaważać i zwracać uwagę na poprzędających spis zebraniach omówiło znaczenie i celowość powszechnego spisu, oraz urzędowi gminnemu, który wykazał maximum usprawnienia akcji spisowej”.

Rozporządzenie o obrocie i sprzedaży mleka

W najbliższym czasie ukazać się ma rozporządzenie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych regulujące zasadniczo sprawę obrotu i sprzedaży mleka. Rozporządzenie to przyznaje wojewodom uprawnienia do wydawania lokalnych zarządzeń w kierunku ograniczenia sprzedaży mleka w nieodpowiednich miejscach oraz przez niepowołane do tego osoby.

Rozporządzenie to ujmuje całokształt zagadnienia handlu mlekiem tak w dziedzinie produkcji, jak i przemysłu oraz handlu mlecznego. Wydanie jego podyktowane jest nie tylko względami zdrowotnymi, ale

także koniecznością zrationalizowania handlu mlekiem.

Godna naśladowania akcja

Stowarzyszenia Urzędników Skarbowych

Na posiedzeniu Zarządu Koła Stowarzyszenia Urzędników Skarbowych w Białymstoku w dniu 29 grudnia rb. zapadła uchwała zaapelować do wszystkich urzędników skarbowych,

aby zamiast życzeń noworocznych składali jednorazowe ofiary dla biednych sierot.

Z akcji tej w dniu 30 bm. zebrano już 51 złotych. Dalsze ofiary wpływają.

Dramat miłosny

6 kul w piersi ukochanej

W Świecianach rozegrał się tragiczny dramat miłosny.

Mieszkaniec Świecian, Adolf Czaps kochał się od dłuższego czasu w 17-letniej Genowefie

Pietrowiczównie. W wigilję świąt Czaps oświadczył się Pietrowiczównie, lecz oświadczyzny nie zostały przyjęte, gdyż, jak Pietrowiczówna oświadczyła,

kocha innego

i nie może go wobec tego poślubić.

Dreńczony zazdrością Czaps postanowił zemścić się. Naza jutrz szczenił się przy domu ukochanej dziewczyny i w chwili, gdy ukazała się jej sylwetka w oświetlonym oknie, oddał w jej kierunku

6 strzałów rewolwerowych

lecz na szczęście chybił, raniąc ją jedynie w rękę.

Ranną przewieziono do szpitala powiatowego, zaś Czapsa aresztowano.

Kiedy aresztowanego wprowadzono do kancelarii sądziego grodzkiego w Świecianach celem wyznaczenia środka zapobiegawczego, Czaps, korzystając z nadarzającej się okazji, pochwycił ze stołu kancelaryjnego nóż i dwukrotnie

zranił się w pierś.

Niedoszłego rannego i samobójcę przewieziono do szpitala, gdzie znajduje się pod ochroną policyjną.

NIEŚMY POMOC BEZROBOTNYM

O zwolnienie od podatku

od lokali mieszkań 1 i 2 izbowych

W wystosowanym do Min. Spraw Wewnętrznych i do Min. Skarbu memorjale, dotyczącym nowelizacji ustawy o podatku od lokali, Związek Miast Polskich zwraca uwagę, że lokale jedno i dwuizbowe zamieszkuje ludność najuboższa, że koszty związane z wymiarem, a następnie z umiarem, wymienionego podatku, są w wyso-

kim stopniu niewspółmierne z wpływami podatkowymi, a zgłaszanie się o ulgi i umiarzenie na mocy tych zgłoszeń należy do podatkowych z tytułu ich nieściągalności posiada masowy charakter. Zw. miast zgłasza przeto w memorjale swym postulata zwolnienia posiadaczy powyższych lokali od podatku od lokali.

APOLLO DZIS! Początek: 4, 6, 8 i 10

GIGANTYCZNE ARCYDZIEŁO

KSIĘŻNA TARAKANOWA

Epopea miłości i zdrady — zbrodni i poświęcenia
Rojka pod rządami rozpustnej i chciwej kobiety

KATARZYNA — SZUWAŁÓW — ORŁÓW — POTIOMKIN

Edyta Jeanno, Olaf Faoré, Rudolf Klein i Rogge
CUDOWNE PIEŚNI CYGAŃSKIE.

Złóż ofiarę na rozbudowę Szpitala

Polsk. Czerwonego Krzyża

Kino „PRZYSTAŃ” Dziś

„TAJEMNICA PANI MARY”

dramat w 10 aktach wg słynnej pow. Pawła Langscheidta „Głupia Historia”

W rolach głównych:
DOLLY GREY LYDIA BOTECHNIA
ELZA TEMARI EWA SPEYER
ANDRÉ PATTONI MIKONDIAN
CURT VESPERMAN CLO-CLO

doskonały nadprogram
Początek seansów godz. 5, 7, 9.

Popierajcie L. O. P. P.